

egzemplarz bezpłatny

ISSN 1732-6494 nr 28, kwiecień 2008

mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego



Niebawem ruszy
Krakowska Telewizja Internetowa



miXer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modzelewskiego

Nr 28 kwiecień 2008

3 Apéritif

PoWaGa

Politycznie Ważne Gadanie

- 4 Był człowiekiem nietuzinkowym, humanistą, rzadkim w dzisiejszych czasach *arbitrem elegantiarum* – wywiad z prof. Stefanem Mellerem
- 7 Bezpieczeństwo to proces, a nie status

StuDnia

Studencki Drogowskaz Intelktualny

- 9 Miała budować socjalizm, a stała się symbolem komunistycznego buntu
- 10 Czeczenia ciągle czeka...

Temat z okładki

- 12 Niebawem ruszy Krakowska Telewizja Internetowa

Kraków od spodu

- 16 Blues pełen wolności
- 17 KRwiecień KRwiodawstwa w KRakowie
- 18 O problemie i prawach mniejszości kurdyjskiej
- 19 Dlaczego przegrał PiS...

KUMulus

Kulturalny Uzupełniacz Młodzieży

- 20 Miażdżący łomot i atomowa energia
- 21 Historia zgubnych namiętności

KSW w obrazie

- 22 – *Polak woli kupić koszulkę zespołu, muzykę bez problemu ściąga się przecież z Internetu* – mówi Dawid Krąkowski, student amerykanistyki

redaktor naczelny Bartłomiej Misiniec

zastępca redaktora naczelnego Szymon Wróbel

redakcja Iga Bałos
Iwona Faron
Grzegorz Makuch
Joanna Oparcik
Agnieszka Prosta
Magdalena Zakrzewska
Anna Zielińska
Mateusz Płocica
Bartosz Walat
Maciej Pietrzyk
Daniel Wilk

zdjęcia Mirosław Żak

dtp i okładka Mateusz Janusz (hussars.pl)

adres do korespondencji mixer_ksw@interia.eu

druk Drukarnia Leyko
tel. 012 656 44 87

nakład 2000 egzemplarzy

opieka redaktorska Maciej Malinowski
(Wydział Politologii
i Komunikacji Społecznej)

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.



Bartłomiej Misiniec redaktor naczelny

Apéritif

W kwietniowym numerze „Mixa” znajdziecie sporo relacji z wydarzeń, jakie w tym miesiącu miały miejsce w Krakowie, a także wywiad ze zmarłym niedawno Stefanem Mellerem, wybitnym humanistą i dyplomatą. 15 czerwca 2007 r. spotkał się z nim Grzegorz Lewandowski, student KSW, i usłyszał mnóstwo prawd o wielkiej polityce i ludziach ją tworzących (m.in. Zbigniewie Brzezińskim).

Być może wiecie już, że niebawem rusza Krakowska Telewizja Internetowa. Postanowiliśmy zajrzeć do studia telewizyjnego KSW przy ul. Lipowej, gdzie trwają ostatnie przygotowania. O nowej ofercie dla widza, który będzie mógł realnie wpływać na kształt programu, a nawet go współtworzyć, przeczytacie na s.12-15 w artykule Iwony Faron.

Przez prawie cały kwiecień w wielu miejscach naszego miasta zorganizowano akcję przyświecającą szczytnej idei krwiodawstwa w ramach „KRwietnia KRwiodawstwa w Krakowie” (krkrkr.pl). Warto się zapoznać z założeniami przedsięwzięcia i dowiedzieć czegoś więcej o ruchu honorowego krwiodawstwa oraz świadomej transplantologii (s. 17).

W dniach 16-17 marca w auli KSW przy ul. Starowiślnej odbyła się symulacja obrad Rady Bezpieczeństwa ONZ, która dotyczyła problemu pokojowego rozwiązania kwestii kurdyjskiej. O jej przebiegu przeczytacie na s. 18.

Po przerwie dodajemy też kolejną osobę do galerii „KSW w obrazie” (s. 22-23), gdzie prezentujemy nietuzinkowych studentów Krakowskiej Szkoły Wyższej. Obecnym bohaterem jest Dawid Krąkowski, student amerykanistyki, który oddając się swojej pasji, postanowił założyć... własną wytwórnię fonograficzną.

Przyjemnej lektury! ■

Kiedy 15 czerwca 2007 r miałem wielki zaszczyt spotkać się z prof. Stefanem Mellerem, nawet przez myśl mi nie przeszło, że oto rozmawiam z człowiekiem, który odchodzi. Profesor zrobił na mnie piorunujące wrażenie...

Był człowiekiem nietuzinkowym, humanistą, rzadkim w dzisiejszych czasach *arbitrem elegantiarum*

Wszyscy wiemy, kim był prof. Stefan Meller. Profesorem nauk humanistycznych, poetą, prorektorem warszawskiej PWST, ambasadorem Polski we Francji, potem w Rosji. Sekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, następnie szefem dyplomacji w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza.

Złożył dymisję, kiedy do władzy wykonawczej „wkroczyli” ludzie z „Samoobrony” i „Ligi Polskich Rodzin”. Dla bałwanów – bałwan, dla inteligentów – inteligent najlepszego miotu. Człowiek nietuzinkowy, humanista, rzadki w dzisiejszych czasach *arbitr elegantiarum*.

Stefan Meller bez wątpienia był obdarzony wielką charyzmą, inteligencją, życzliwością oraz ciekawością, a wręcz chciwością na świat i ludzi. Swoje zawile losy, poczynając od dzieciństwa we Francji, poprzez pobyt w Szwajcarii i już dorosłe życie w Polsce, opowiada swojemu przyjacielowi Michałowi Komarowi („specjaliście od ministrów spraw zagranicznych”) w książce „Świat według Meller’a”. Opowiada po swojemu, a więc szczerze, dosadnie i mądrze.

Z książki możemy się dowiedzieć, co go ukształtowało, jakie były momenty zwrotne w jego bardzo barwnym życiu. Książka pokazuje nam nie tylko wybitnego naukowca i dyplomatę, ale przede wszystkim człowieka z krwi i kości, ze wszystkimi przywarami i słabościami.

Jego niesamowicie rozległa wiedza i rozumienie świata w połączeniu z galanterią, jaką stosował w kontaktach z ludźmi, sprawiła, że przez kilka następnych dni myślałem wyłącznie o tej godzinie spędzonej na rozmowie z Profesorem.

Przedstawiam wam zapis tego wywiadu, a dla refleksji przytaczam jeden z wierszy śp. Stefana Meller’a z tomiku poezji „Zaledwie minuta”:

Życie

*Dowiedziałem się dzisiaj, że
Dwa tygodnie temu wspinałem się już do raju,
Ale złapali mnie w ostatniej chwili
Na łące i harpun,
No i położyli pierwszej na tokarce,
A potem na wrzecionie.*

*Porobili coś z ciałem,
Zadzwoił budzik albo inny dzwon Zygmunta.
Puk – puk,
Reanimacja,*

*No i proszę,
Budzę się i nawet nie wiem,
Żem już w innym ciele,*

No więc nie wiem także nic o śmierci,

*Ale napis na drzwiach
Zdecydowanie świadczy o tym, że mam duszę.*

*Mam nadzieję, że miałem ją również
Przed wycieczką do raju.*



Grzegorz Lewandowski w rozmowie z prof. Mellerem

Grzegorz Lewandowski: *Panie ministrze, chcę zapytać o pierwsze spotkanie z prof. Zbigniewem Brzezińskim. Kiedy do niego doszło?*

Prof. Stefan Meller: – Czulem, że pan mnie o to zapyta. Próbowałem sobie przypomnieć i za nic sobie nie przypominę. To wszystko zlało mi się w jeden zyciorys, mam na myśli mój zyciorys.

Czy rozmawiał pan na temat Zbigniewa Brzezińskiego z księciem Jerzym Giedroyciem?

– Tak, ale nie opowiem o tym panu... (śmiech).

Ale rozmowy były?

– No pewnie, że były. Książę, jak by to powiedzieć, nie lubił plotkować, ale uwielbiał rozmowy o innych. Oczywiście ja podejmowałem te rozmowy, mając pełną świadomość, żeby być ostrożnym, bo niewątpliwie po mnie przyjdzie ktoś

inny i wtedy ja się stanę podmiotem rozmowy (śmiech). Rozmawiałem, ale nie w porządku psychologiczno-osobowościowym, tylko o ideach, o książkach profesora. Nie ulega wątpliwości jedna rzecz, to mogę powiedzieć: redaktor był taką osobą, że jak mu się o kimś nie chciało mówić, bo go nie cenił, to po prostu nie mówił. Jak nie cenił bardzo, to mówił jedno zdanie. To była długa rozmowa...

I tego zdania o Zbigniewie Brzezińskim nie wypowiedział?

– A, nie, nie. Traktował go jako bardzo poważnego myśliciela politycznego.

Polityka?

– Bardziej myśliciela politycznego, zręcznego, szybkiego, ruchliwego. Osobę, z którą warto się spierać.

A czy profesor Brzeziński był rozpoznawany? Chodzi mi o elity francuskie...

– Tak, oczywiście. Jak pan wie, Francuzi odchodzą ze swojego lokalnego kościoła, który brzmi, brzmiał – antyamerykanizm. W owej perspektywie Brzeziński musiał być rozpoznawalny, bo był jednym z twórców tego wariantu amerykańizmu, który Francuzom doskwierał niebywale intelektualnie, politycznie i powiedziałbym emocjonalnie. Krótko mówiąc, „Zbig” był takim hasłem wywoławczym. Z drugiej strony, jako jeden z niewielu polityków amerykańskich naciskał bardzo mocno na pedał „Europa”. Mówił o Europie, pouczał Amerykanów. Klasa polityczna Francji miała go za inteligentnego jastrzębia i przy całym umiłowaniu, miłującej pokój ojczyzny światowego proletariatu, miała go jednocześnie za jastrzębia wobec Rosji, nie pojmując do końca tego, że sto razy lepiej rozumie problem i to nie jest kwestia antyrosyjskości, bo on nie jest antyrosyjski. Natomiast

zdecydowanie był twardo antysowiecki, ale w bardzo zręczny sposób.

I skuteczny...

- I skuteczny, ale tego typu argumenty do klasy politycznej francuskiej nie przemawiały. Nie do wszystkich. Dla większości osób był heroldem antysowieckiego amerykańizmu. Tu nie ma co dyskutować.

Sluchany, tylko że nie do końca słyszany.

- Tak, była to jedna rzecz, która peszyła Francuzów, widziałem to na własne oczy... Jak wiadomo Brzeziński ma umysł poruszający się z szybkością torpedy. Do tego jest błyskotliwy, dowcipny, złośliwy i wszystko to mieści się w definicji Francuza, którą Francuzi sami stworzyli. Taki partner negatywny, który cię leje twoją własną bronią, to skomplikowana sytuacja (*śmiech*).

Czy prof. Zbigniew Brzeziński, w cudzysłowie, pomagał panu w pracy – jako ambasadorowi Rzeczypospolitej w Paryżu?

- Nie w sensie dosłownym, niewątpliwie zaś czytanie go to było coś, czego nie pomijałem nigdy w swojej „robocie”. Czy się człowiek zgadza, czy nie z analizami Brzezińskiego, to niewątpliwie mają one jedną szczególną właściwość – Brzeziński dysponuje olbrzymią ilością kluczy i wytrychów – tam gdzie klucza nie ma. Po prostu, jak się z pokorą wsłuchać, to otwiera wszystkie klapki.

Jan Nowak-Jeziorański pisał o tym, że listy „Zbīga” szły za nim, otwierając, w sensie dosłownym, wiele drzwi...

- Otwierały wszystkie drzwi, otwierają. Myślę nawet tutaj o Francji, jak bardzo ewolucja, która następuje w tej chwili, w myśleniu o świecie, dokonuje się też pod wpływem Brzezińskiego. Następuje ewolucja myślenia transatlantyckiego, a Brzeziński, jak mało kto jest myślicielem transatlantyckim. Jeszcze jedna rzecz: szczególnie mocno poruszył Wschód. Jak świat polityczny myśli o Wschodzie, to mówi: Rosja ewentualnie Ukraina i tam gdzieś na końcu Białoruś. Ponieważ powstały nowe republiki, to się w porządku myślenia o nich je odseparowało, bo są samodzielne, bo demokratyczne, bo niepodległe. Wszystkie inne są

tyrańskie, dyktatorskie. Otóż Brzeziński nie dał się nabrać na to. W dalszym ciągu wiedział i rozumiał, że te kraje niepodległe, samodzielne, kombinujące rozmaicie, a to z NATO, a to z Unią, a to ze Stanami, w dalszym ciągu, czy tego chcą, czy nie, są i będą jeszcze długo w takiej czy innej orbicie wpływów rosyjskich. Myślę, że ten świat Zakaukazia, Kaukazu, Azji Środkowej Brzeziński wydobył, pokazał, co to jest.

Panie profesorze, czy to dobrze, że Brzeziński pozostał w Waszyngtonie, a nie wrócił do Warszawy po 1989 roku?

- To jest dobre pytanie, dobre pytanie (*śmiech*). Do głowy mi przychodzi takie pytanie, co by było, gdyby Jan Paweł II podjął decyzję o abdykacji... Osobiście myślę, że Brzeziński nie powinien był wracać. Mam taką skłonność, że jak gdzieś dostrzeżemy wspólne korzenie, to zaczynamy wszyscy być tacy bardzo biologiczni. Brzeziński, formowany w dużej mierze przez polską kulturę, polski mechanizm uzyskiwania tożsamości, jest jednak przede wszystkim politykiem amerykańskim, i chwała Bogu, że z takim kapitałem wrażliwości na Europę i Polskę. Dzięki temu mógł zabierać głos w sprawie Polski. A mało tego, bywał dydaktykiem. Wie pan, ja taką laudację wygłaszałem z okazji „Człowieka Roku” (*„Gazety Wyborczej” 2006 – mój przypis*) i nam wszystkim, którzy tam byliśmy, dźwięczą w uszach słowa Brzezińskiego, o tym, że nie da się budować miejsca Polski w Europie bez Niemiec. Niemcy stają się najważniejszym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych i nie ma polityki Polski, która może się dokonywać bez współdziałania z Niemcami.

Profesor Brzeziński mówił, że Polska nie leży na Księżycu...

- Otóż to. Gdyby wrócił, to i tak nic by z tego nie wyszło, boby go zjedli.

To samo powiedział Stefan Kisielewski...

- Okazałoby się, że prof. Brzeziński jest zarozumiałcem, który wraca, bo mu się wydaje, iż nie wiadomo, jaką rolę odegrał. Odpowiedź poważna jest taka, że cała elita polityczna wyrosła tu i teraz. Oczywiście, że jest olbrzymia liczba nowych osób, ale osób, które są niekiedy karykaturą poprzednich elit, umocowaną w pew-

nym systemie myślenia. Zastanawiam się, czy jakiś Austriak zapytałby w związku z Kissingerem, czy powinien być wrócić do Austrii, czy nie... Nam bardziej jest potrzebny wybitny amerykański myśliciel polityczny i polityk, bo w konsekwencji jego przemyślenia zamieniają się w czyn.

Mówił pan profesor o „jednoosobowej instytucji w Waszyngtonie”. Instytucji – Zbigniewie Brzezińskim. Można powiedzieć, że był on, i jest, doradcą polskich polityków. Czy pan profesor korzystał z jego bezpośrednich rad, będąc szefem dyplomacji?

- Jasne. Pierwszą rzeczą, kiedy pojechałem do Waszyngtonu jako minister, było śniadanie z Brzezińskim u niego w domu. Kto inny mógł mi lepiej powiedzieć, podszeptać, pouczyć, pokazać rozmaite drogi i na przykład powiedzieć, że to, co biorę za autostradę, jest w istocie boczną drogą, tylko dobrze wygląda? A trzeba iść tą boczną, bo to jest prawdziwa droga do sukcesu. To lekkomyślne nie chciało rozmawiać z Brzezińskim, jak się robi politykę amerykańską.

Rozmawiał pan profesor przed spotkaniami z politykami amerykańskimi czy po?

- Przed spotkaniami i po nich. Powiem panu o pewnej rzeczy. Jak przebywałem w Paryżu, byłem blisko z redaktorem Giedroyciem, widywaliśmy się systematycznie z różnych powodów. Nagle sobie uświadomiłem, że ów wielki człowiek, wielki europejski myśliciel, chcę podkreślić europejski, a nie tylko polski, żyje pod Paryżem i Francuzi o nim nie mają pojęcia. O nim, o „Kulturze”. Wymyśliłem więc coś takiego, żeby zrobić sesję poświęconą Giedroyciowi. Żeby to zrobili Francuzi, a ja żebym pomagał. Żeby to nie było wydarzenie polskie w Paryżu, tylko światowe w Paryżu, ponieważ myśl Giedroycia wpłynęła na dzieje świata. Ściągaliśmy mówców z rozmaitych zakątków, z Rosji, z Ukrainy, z Czech, z Bułgarii i nagle się okazało, że opozycja tamtejsza znała Giedroycia, który wpłynął na ich tok myślenia. Mało tego, dzięki niemu zaczęli się uczyć języka polskiego. Znam takie dwa przypadki, drastyczne w istocie, ambasador Czech i ambasador Bułgarii w Paryżu, młodsi ode mnie, chłopcy w latach 1980-81 studenci, nauczyli się polskiego z powo-

du Gdańska. Mówią po polsku jak pan i ja, a jak się tylko nauczyli polskiego, to trafili do Giedroycia, na „Kulturę”. Ale dalej, Nowak-Jeziorański nie mógł przyjechać, bo był chory, i przysłał nagranie. Ja ściągnąłem profesora Brzezińskiego, który wygłosił przemówienie, choć wiadomo, że nie zawsze było mu po drodze z Giedroyciem.

A szczególnie Giedroyciowi z Nowakiem-Jeziorańskim...

- Tak. Muszę powiedzieć, po pierwsze, że Brzeziński wyraźnie stwierdził, kim jest Giedroyc i jego Maisons-Laffitte. Powiem panu, że to jeden z bardziej wzruszających momentów, jakie w życiu widziałem, bo Giedroyc był bardzo opanowanym człowiekiem. Sposób, w jaki, z pozornie kamienną twarzą, wysłuchiwał tego *louange* Brzezińskiego. Dwa tytany. Brzeziński w sposób nadzwyczaj elegancki pokazał rolę Giedroycia. Widziałem, że przyjazd Brzezińskiego niebawem podniósł rangę tego wszystkiego. To przyjechał Polak znający problemy i wybitny myśliciel amerykański, który mówi o naszej części świata. Widać było takie bardzo uważne napięcie na sali, kiedy mówił Brzeziński.

Wspominał pan profesor o tym polskim dworku, w którym Brzezińscy mieszkają.

- Z zewnątrz to amerykański domek. Ładny, ale takich jest wiele. Ale jak się wchodzi do domu, w którym mieszkają, i przekracza się próg, to nagle człowiek ląduje w innym świecie.

W Polsce?

- W Polsce, pewnie, że w Polsce. Wie pan, mało tego, że w Polsce, ale w tej romantycznej Polsce XIX-wiecznej. XIX-wieczny dworek z takim faktograficznym, za sprawą zdjęć, rycin obrazów, portretów, kultury, zaprezentowaniem polskiej świadomości. Nagle się okazuje, że Zbig Brzezinski to Zbig Brzezinski ten z pierwszych stron gazet, ale jest Zbigniew Brzeziński osadzony w rodzinie, w rodzie, w plemieniu, w historii, w obyczaju. Muszę powiedzieć, że jak mnie oprowadzał po domu, to ja oczywiście zapominałem, że jestem z MSZ, podchodziłem do ścian i się gapilem beczelnie. Powiem panu, że to, co było również dworkowe, to zachowanie profesora. Rozpierała go duma, że może pokazać całe owo potężne tkwienie w tradycji polskiej. Zachowywał się dokładnie tak, jak 15-letni chłopak, który ma wspaniałą kolekcję znaczków i jest dumny, bo takiej kolekcji inni nie mają. Jeszcze jedna cudowna rzecz, ale nie wiem, czy wypada o tym powiedzieć. Zachwyca mnie to, że państwo Brzezińscy mają, o czym każdy Słowianin marzy, dużą kuchnię. Ośrodek domu w naszej części świata to jest kuchnia, a nie salony. Bardzo ładna kuchnia, taka duża, dworska kuchnia. Żadnego tam „ą”, „ę”, żadnego indyczenia się. Brzeziński może uchodzić za pyszałka, i niektórzy tak go widzą. Jak się go widzi tam, u niego, to widać człowieka, który wspaniale jest pogodzony z rzeczywistością. On na co dzień jest skromnym człowiekiem ową skromnością, którą daje poczucie o swojej wybitności. On się z tym nie obnosi.

On jest...

- ...jest, po prostu jest.

Wspominał pan w rzeczonyj laudacji o pani Musce, o szacunku profesora do żony Emilie.

- Co ja tu będę mówił, ja już zostałem skarcony przez Brzezińskiego przy swojej żonie (*śmiej*). Pytał: „O co panu właściwie chodzi, co pan takiego zauważył...?”. Zauważyłem bardzo prostą rzecz – to, co jest najlepszego w relacjach między dwojgiem ludzi. Widzimy mnóstwo par, które potrafią przejść koło siebie 5 km i się nie odezwać. W kawiarniach widzi się takie sytuacje, że ludzie ze sobą nie rozmawiają, mówię o parach. A tu zobaczyłem coś, co jest rozkoszne. Ona wodzi wzrokiem za nim, on wodzi wzrokiem za nią. W tym wzroku po obu stronach jest olbrzymi ładunek takiej poskromionej czułości. Jak ja powiedziałem o tym w laudacji, to potem miałem wrażenie, jak mnie karmił profesor, to karmił mnie tak, jak ktoś, kto myślał, że tego nie widać, i został na gorącym uczynku złapany. To, co zobaczyłem, to jest takie bardzo ciepłe i eleganckie zabieganie o partnera. Poza tym, wie pan, prawda jest taka, że Brzeziński to z pewnością osoba silna. To wiemy, wszyscy. I tylko tak silny mężczyzna może się zachowywać tak, żeby objawiać taką słabość w postaci czułości dla partnerki. To dodatkowy dowód na to, że Brzeziński jest z takiego dobrego kruszcu, w sensie osobowościowym.

Rozmawiał

Grzegorz Lewandowski

Po konferencji „Nowa architektura bezpieczeństwa w Europie. Rola i pozycja Polski” w Krakowie

Bezpieczeństwo to proces, a nie status

Grzegorz Makuch

W marcu odbyła się w Krakowie konferencja „Nowa architektura bezpieczeństwa w Europie. Rola i pozycja Polski”. W panelu prowadzonym przez red. Jacka Stawiskiego wzięli udział minister obrony narodowej **Bogdan Klich**, jego doradca prof. **Roman**

Kuźniar, poseł PiS **Paweł Kowal** i dyrektor Centrum Europejskiego „Natolin” **Marek Cichocki**.

Wszyscy goście byli zdania, że Polska jest krajem bezpieczniejszym, bezpieczniejszym niż 18 lat temu i bezpieczniejszym niż w całym ubiegłym wieku. To jednak jeszcze nie oznacza, że jest

w 100 procentach bezpieczna, jak i nie powinno to dawać poczucia błędnego komfortu na przyszłość, gdyż – jak zauważył prof. Kuźniar – „bezpieczeństwo to proces, a nie status”.

Sytuacja zawsze jest dynamiczna i każdy, kto o tym zapomina, przegrywa. Dlatego buta i poczucie mocy mogą się

okazać zgubne, zwłaszcza w XXI wieku, kiedy to obok zagrożeń *hard* (atak zbrojny) są jeszcze zagrożenia *soft* (ekologiczne, energetyczne, cyberterrorizm). Określenie drugiej kategorii „miękkimi” wcale nie powinno sugerować znikomego stopnia ich szkodliwości, lecz raczej sposobu ich dokonywania. Przykładem niech będzie Estonia, której system informatyczny zaatakowali hakerzy (jest tajemnicą poliszynela, że akcją sterował Kreml). Ten mały kraj stracił niewiele, bo jedynie kilka milionów euro, ale ów akt cyberterrorizmu należy traktować raczej w kategoriach preludium i próby. Wystarczy, że atak by potrwał kilka dni dłużej i z większą intensywnością, a koszty wzrosłyby nieproporcjonalnie.

Podobnie jest z dostawami gazu. Każda przerwa w dostarczaniu tego surowca przez Rosję równa się przymusowemu uruchomieniu własnych zasobów energetycznych (jeśli się je w ogóle posiada!). Trzeba bowiem pamiętać o tym, że każdy spichlerz ma swoje dno, a wraz z nim zaczynają się ogromne straty dla gospodarki. Toteż, jak zauważył Marek Cichocki, nośniki energetyczne są kluczowymi środkami dla konkurencyjności gospodarki, jak i dla zewnętrznego wywierania wpływu na nią. Dlatego potrzeba jak najszybszego rozwiązania sprawy bezpieczeństwa energetycznego Polski (czyt. dywersyfikacji) i powstania projektów oraz ich szybkiej realizacji, a także pełnych spichlerzy (vide J&S Energy).

Mniej ważącą, acz bardziej medialną kwestią polskiego bezpieczeństwa w Europie wydaje się sprawa amerykańskiej tarczy antyrakietowej. Prof. Kuźniar uważa ów konkretny model systemu antyrakietowego za anachroniczny i nieprzystający do potrzeb nie tylko Polski czy Europy, ale i świata. System rakiet przechwytyjących chroniłby bowiem przed interkontynentalnymi pociskami balistycznymi przenoszącymi ładunek atomowy – a taki potencjał mają trzy kraje na świecie, przy czym Iran do tej grupy nie należy i nigdy nie będzie należał.

Z kolei za zasadne uważałby profesor wybudowanie tarczy przed zagrożeniem rakiet krótkiego i średniego zasięgu. Ponadto w sytuacji, gdy Stany Zjednoczone będą miały tarczę w Europie Środkowej, militarny rozwój NATO, pod tym względem, stanie w miejscu. Pakt Północnoatlantycki nigdy bowiem nie zbuduje



systemu obrony w Europie, bez wsparcia USA – które już będzie miało swoją tarczę – a Europa sama nie będzie mieć ani wystarczających środków, ani motywacji dla tak kosztownej pod wieloma względami inwestycji.

Adwersarzem prof. Kuźniara był minister Bogdan Klich, który traktuje umieszczenie elementów tarczy antyrakietowej w Polsce jako wpisanie naszego kraju w długofalową politykę obronną Stanów Zjednoczonych. Polska stałaby się wówczas częścią ogromnego krwioobiegu. Minister obrony narodowej jest także zwolennikiem jak najszybszej instytucjonalizacji NATO, UE i USA w Polsce w celu mocniejszego umocowania wpływów Zachodu.

Z kolei Marek Cichocki przypominał smutny truizm: jednostronność kontaktów Polski, a mówiąc bardziej dosadnie – brak profitów z udziału misji polskiej w tym jakże odległym dla nas kraju, Czadzie. Wydałoby się czymś rozsądnym, gdyby Francja w zamian za polskie wsparcie zaoferowała współpracę w budowaniu elektrowni jądrowych, co by korelowało z polskim problemem bezpieczeństwa energetycznego. Ale czy ktoś domagał się rzeczywistej współpracy od Francuzów?

Podobnie rzecz się ma z polską „misją” w Iraku, której największym profitem okazało się nabyte doświadczenie i sprawdzenie sprzętu w warunkach bojowych. Pytanie: czy Polska zyska coś w zamian za zgodę na umieszczenie ele-

mentów tarczy antyrakietowej? Przypomnijmy, że Czesi będą latać do Stanów Zjednoczonych bez wiz – i osiągnęli to bez pośrednictwa Brukseli, ku jej niezadowoleniu. Natomiast rząd Jarosława Kaczyńskiego negocjował, a prezydent Lech Kaczyński obwieszczał *urbi et orbi*, że sprawa umieszczenia silosów w Polsce jest już przesądzona.

Całkiem niedawno były premier podkreślił, że sprawa umieszczenia elementów tarczy w Polsce leży w naszym interesie, a Amerykanie wyznaczyli już termin zakończenia negocjacji. Jednym słowem – czas nie pracuje na naszą korzyść, zwłaszcza że nie wiemy, jaka będzie postawa następcy George’a W. Busha w sprawie tarczy. Dlatego jeśli uda się Polsce w zaistniałej sytuacji wynegocjować jakieś faktyczne profity, będę wielce zdumiony. W moim bowiem mniemaniu rząd polski negocjuje już tylko sprawę wyjścia z twarzą z tychże negocjacji, by po ich zakończeniu móc powiedzieć: „Odnieśliśmy sukces!”. Tylko że ktoś potem będzie musiał zjeść tę żabę, tak jak teraz PiS konsumuje – albo raczej bardziej się dławi – tą przez siebie wynegocjowaną: lizbońską.

Aczkolwiek istnieje jeszcze czarniejszy scenariusz: rząd Polski zgodzi się na tarczę, ponosząc wszelkie konsekwencje polityczne owej decyzji – które w zasadzie już odczuwamy – a system rakiet przechwytyjących nie powstanie, bo w USA zmieni się prezydent i priorytety polityki obronnej Stanów Zjednoczonych... ■

Nową Hutę często kojarzymy z chuligaństwem, specyficzną architekturą i niebezpieczeństwem czyhającym pomiędzy blokami. Ponad pół wieku historii sprowadzamy do ciasnego kręgu stereotypów i uprzedzeń, które zawężają nasze spojrzenie.

Miała budować socjalizm, a stała się symbolem komunistycznego buntu

Maciej Pietrzyk

Powojenny plan 6-letni zakładał szybką industrializację kraju, która miała być środkiem przekształcenia polskiego społeczeństwa. Skupiono się głównie na hutnictwie oraz przemyśle chemicznym i maszynowym. Szczególną rolę odgrywała zwłaszcza Huta im. Lenina pod Krakowem, gdzie zaczęło powstawać nowe miasto – Nowa Huta.

O zlokalizowaniu tuż przy Krakowie zdecydowały różnorodne czynniki, jak choćby względy komunikacyjne i położenie nad Wisłą, w pobliżu wielkiego miasta. Jednak usytuowanie tego kombinatu służyło także celom politycznym. Chodziło o stworzenie silnego ośrodka robotniczego w pobliżu tradycyjnie inteligenckiego Krakowa. Istnieją również przypuszczenia, że robotnicze miasto miało być karą dla Krakowa za niesubordynację w czasie referendum w 1946 roku (3 razy „tak”).

Budowa nowego miasta spowodowała osiedlanie się głównie mieszkańców wsi, którzy wiązali z nią nadzieje na lepsze zarobki i poprawę warunków bytowych. Większość z nich miała trudności z przystosowaniem się do życia w mieście, stąd zdarzały się przypadki m.in. hodowli świń i drobiu w zaciszach robotniczych mieszkań.

Budowniczymi socjalistycznego miasta byli z reguły młodzi chłopcy, dla których była to jedyna możliwość oderwania się od gospodarstw wiejskich swoich ojców. Wiele się mówi o lekkich obyczajach panujących wśród robotników. Wymienia się głównie: nad-

używanie alkoholu, gwałty, kradzieże i awantury.

Istotnie, problem alkoholu istniał. Był to sposób na spędzanie wolnego czasu po całym dniu pracy. Upojenie musztardówką relaksowało robotników oraz pomagało przetrwać ciężkie warunki pracy, zwłaszcza w pierwszych 2-3 latach budowy. Jednak mówienie o niskim morale całej grupy robotników wydaje się nadużyciem i zbytnim uproszczeniem. Niestety, obok uczciwie pracujących zdarzali się ludzie nikczemni. To właśnie oni powodowali negatywny odbiór Nowej Huty jako miejsca niebezpiecznego, zaniedbanego i ponurego.

Takie myślenie pokutuje do dzisiaj. Nową Hutę odbieramy przede wszystkim jako siedlisko zła. Przyjęło się mówić o niej jako o „krajnie latających noży”. Takie rozumowanie razi, zwłaszcza u studentów, od których wymagałoby się szerszego spojrzenia na istotę rzeczy. Nie da się ukryć, że w Nowej Hucie jest niebezpiecznie, łatwo natknąć się na grupę chuliganów, a takie spotkanie nierzadko kończy się boleśnią. Nie można jednak charakteryzować jej wyłącznie przez pryzmat chuligaństwa.

Warto spojrzeć z innej perspektywy. Pomimo widocznego zaniedbania i tragicznej infrastruktury Nowa Huta przez wielu postrzegana jest jako brama do innej epoki. Zaczyna wzbudzać zainteresowanie i jest szansa na to, żeby stała się wyjątkową atrakcją turystyczną. Zwłaszcza że od jakiegoś czasu widzimy wyraźne zamilowanie do czasów PRL-u. Potwierdza to duża popularność „Crazy guide”,

czyli przewodnika po komunistycznych zabytkach Krakowa. Należałoby odrzucić uprzedzenia i zobaczyć choćby najbardziej znane obiekty, takie jak: kościół Arka Pana, kina „Świt” i „Światowid”, Teatr Ludowy, Pomnik Solidarności czy plac Centralny, który do dziś jest najbardziej rozpoznawalnym miejscem „socrealistycznego cudu świata”.

W przyszłym roku przypada 60. rocznica rozpoczęcia budowy Nowej Huty. Szczegółowych planów obchodu jubileuszu jeszcze nie ma, ale już teraz pojawiają się pomysły, m.in. cykl wystaw fotograficznych, konferencje naukowe i bicie rekordu Guinnessa w stawianiu ścian w najkrótszym czasie. XVIII dzielnica wysunęła pomysł iście z PRL-u: „60 km chodników na 60-lecie” (w PRL-u: „Tyśiąc szkół na tysiąclecie”). Wśród radnych miejskich nie ma pełnej zgodności co do obchodów. W jednym są jednak sprzymierzeni – nie będzie to gloryfikacja komunizmu, ale uczczenie chwalebnych momentów historii miasta/dzielnicy.

Nowa Huta budzi emocje, choć często wynikają one z niewiedzy. Należy jednak pamiętać, że nie jest ona jedynie szarym blokowiskiem, a jej mieszkańcami nie są wyłącznie chuliganami w dresach. Nowa Huta to historia przez duże „H”. Czasem trudna i kontrowersyjna, ale właśnie przez to ciekawa i warta głębszego poznania. Wskazane jest podkreślenie tego, co dostrzegali dziennikarze „Gazety Wyborczej”, że Nowa Huta miała budować socjalizm, a stała się symbolem komunistycznego buntu. Ukazuje to jej niezwykłość i charakter. ■

W cieniu wyzwolenia Kosowa i walki o wolny Tybet w Europie rozgrywa się jeden z najkrwawszych konfliktów, owiany wielką tajemnicą, dezinformacją i przyzwoleniem świata na masowy mord

Czeczenia ciągle czeka...

Daniel Wiłk

Czeczenia, mała republika kaukaska o powierzchni 16 500 km i ludności nie przekraczającej 1,1 mln, granicząca m.in. od południa z Gruzją, jest kolejnym po Kosowie krajem pragnącym uzyskać niepodległość. Głównie w obawie przed nią Rosja tak radykalnie broni interesu Serbii w konflikcie o Kosowo. Na pozór sytuacja obu republik wydaje się podobna (droga do niepodległości obu państw jest naznaczona krwią tysięcy ofiar), w rzeczywistości jednak Czeczenia jeszcze długo, a być może nigdy nie uzyska niepodległości.

Walki rosyjsko-czeczeńskie mają 200-letnią historię. Jednak dopiero 1991 rok i rozpad ZSRR dał Czeczenii prawdziwą szansę oddzielenia się od Rosji. Czeczenia, chcąc skorzystać z kryzysu komunistycznego mocarstwa, ogłosiła swą niepodległość. Żadne z państw oprócz Gruzji nie uznało niepodległości Czeczenii, zresztą i ona szybko się z tego wycofała w obawie przed represjami. W 1992 r. Czeczenia odmówiła podpisania układu stowarzyszeniowego z Rosją. Dwa lata później Rosjanie rozpoczęli krwawą wojnę, mającą na celu opanowanie republiki. Miasta, w tym stolica Czeczenii Grozny, zostały zrównane z ziemią.

Nie pomogły światowe organizacje na rzecz praw człowieka, nie interweniowało ONZ, Stany Zjednoczone uznały problem czeczeński za nieistniejący. W państwie, w większości zamieszkanym przez islamskich sunnitów, błyskawicznie zaczęły się tworzyć organizacje i sieci terrorystyczne wspierane m.in. przez af-



Życie codzienne w Groznie

www.wolnykaukaz.org

gańskich talibów. Trwający przez cztery lata konflikt zdziesiątkował Czeczenię, zakończył się jednak ogłoszoną w 1996 r. niepodległością, ponownie nieuznaną na świecie, dającą jedynie pozorny spokój. Europa przestała się interesować Czeczenią, podczas gdy Rosjanie dokonywali masowych tortur, gwałtów, mordów na ludności cywilnej w odwecie za akty terrorystyczne dokonywane na rosyjskich obywatelach.

Jednocześnie doszło do wyborów nadzorowanych i zaakceptowanych przez międzynarodowych obserwatorów. Prezydentem został Aslan Maschadow, premierem, uważany w Rosji za terrorystę Szamil Basajew. Coraz większe wpływy

w republice zdobywał radykalny islam. Czeczeńscy terroryści porywali cudzoziemców, żądając okupu lub uwolnienia przetrzymywanych w obozach koncentracyjnych partyzantów. Duża liczba porwań pozorowana była przez Rosjan.

Okres pozornego spokoju został przerwany przez Rosjan w 1999 r. Swoją interwencję usprawiedliwiali wkroczeniem Basajewa na teren Dagestanu oraz zamachami bombowymi w Moskwie. Pod adresem Rosji padły zarzuty prowokacji konfliktu.

W marcu 2003 r., w kontrowersyjnym referendum konstytucyjnym, 96 procent Czeczenów poparło przynależność Czeczenii do Rosji. Wybory zostały zakwe-

stionowane przez międzynarodowych obserwatorów oraz krytycznie przyjęte przez organizacje praw człowieka.

Mimo że konflikt ucichł, nadal prowadzone są partyzanckie akcje, nie zamknięto obozów koncentracyjnych, stale dokonywana jest przemoc na ludności cywilnej. W czasie względnego spokoju doszło do dwóch wielkich ataków terrorystycznych na moskiewski teatr na Dubrowce oraz ataku na szkołę w Biesłanie we wrześniu 2004 r. W trwającym trzy dni zamachu śmierć poniosło 386 osób, głównie dzieci, ponad 150 uznano za zaginione (nie odnaleziono ich do dzisiaj).

Światowym dziennikarzom i obserwatorom ciężko jest rzetelnie przedstawić sytuację panującą w Czeczenii. Przebywając na terenie republiki, są stale kontrolowani, ograniczani, przewożeni z miejsca na miejsce ściśle określoną, oficjalną trasą, z której nie wolno im zjechać. Widzą tylko to, co pozwala im zobaczyć Moskwa. Tragedie mieszkańców Groznego i innych miast pokazują zdjęcia i relacje dziennikarzy, którzy narażając życie, nielegalnie dostają się na teren Czeczenii. Przeważnie są nimi Rosjanie, nieobojętni na los cywilów żyjących za Kaukazem. Ryzykują naprawdę wiele, znane są bowiem przypadki dziennikarzy, którzy zaginęli na terenie Czeczenii, wielu z nich nie udało się odnaleźć.

W lipcu zeszłego roku Polską wstrząsnęła historia Czeczenki, która próbowała się przedostać przez tzw. bieszczadzką zieloną granicę do Polski z czwórką dzieci. Udało się to tylko matce i najmłodszemu, dwuletniemu Eniemu. Trzynastoletnia Xaea, dziesięcioletnia Ceda i sześcioletnia Elina zmarły na skutek wyziębienia na wzniesieniu o wysokości 1163 m n.p.m. Ubrane były w letnią odzież, jedna z nich nie miała nawet butów.

Atak na World Trade Center z 11 września 2001 r. spowodował, że chcąc zdobyć poparcie dla swojej polityki na bliskim wschodzie, Stany Zjednoczone pozwoliły Rosji na dalszą ekspansję zbrodniczego procederu. Od początku wojny zginęło ok. 200 tys. Czeczenów. W obozach filtracyjnych Rosjanie dokonują masowych mordów i tortur (bicie, głodzenie, przetrzymywanie w wodzie, piłowanie zębów, wyrywanie paznokci, porażenie prądem czy rozrywanie ludzi materiałami wy-



Rosyjski helikopter zestrzelony przez czeczeńskich partyzantów. www.strategie.com.pl

buchowymi). Wszyscy wybrani do tej pory prezydenci, w tym Aslan Maschadow, zostali zabici. Obecnie prezydenturę sprawuje Razman Kadyrow, kremłowska marionetka.

zrobić niewiele, nie robi nic" organizacja prowadzi kampanię informacyjną i wolontariat na rzecz uchodźców, a także rozpowszechnia filmy, ulotki i plakaty związane z problemem Czeczenii.



Rosyjscy żołnierze w Czeczenii

www.strategie.com.pl

W Polsce działa organizacja „Komitet Wolny Kaukaz” założona w latach 90. ub. wieku przez krakowskich anarchistów. Kierująca się mottem „Największy błąd popełnia ten, kto myśląc, że może

Jeśli nie jesteś obojętny na tragedię Czeczenów i chcesz wiedzieć więcej, wejdź na stronę internetową „Komitetu Wolny Kaukaz” www.wolnykaukaz.org i dowiedz się, jak możesz pomóc. ■

Temat z okładki

W studiu telewizyjnym
Krakowskiej Szkoły Wyższej
przy ul. Lipowej już prawie wszystko gotowe

Niebawem ruszy Krakowska Telewizja Internetowa

Iwona Faron

Czy to prawda, że widz może bezpośrednio wpływać na kształt programu? Czy program telewizyjny może być tworzony nie pod widza, ale z widzem, i o nim traktować? Czy medium musi być zawsze ugłaskane i koniecznie wbić się w konwenanse show-biznesowej rzeczywistości?

Nie, nie musi.

Od niedawna odpowiedź na dwa pierwsze pytania staje się jak najbardziej realna i w dodatku prawdziwsza niż śpiew gwiazd w popularnym show. W studiu telewizyjnym Krakowskiej Szkoły Wyższej przy ul. Lipowej pracuje się nad uruchomieniem Krakowskiej Telewizji Internetowej.

Chociaż całe przedsięwzięcie rozpoczęło się na początku bieżącego roku akademickiego, Koło Naukowe Dziennikarzy Telewizyjnych działające w naszej uczelni współpracowało z Programem III Telewizji Polskiej już w roku ubiegłym. Zapaleni i pełni pomysłów studenci realizowali cykl felietonów dotyczących życia, pasji i zajęć młodych i ciekawych ludzi przy współpracy profesjonalistów rzemiosła dziennikarskiego Anny Cieślak, Jacka Przybylskiego, a program „Pokolenie UE” zdobył popularność w krakowskim środowisku akademickim.

W październiku 2007 r. rozpoczął się projekt uruchomienia telewizji internetowej. Główne zamierzenie to stworzenie alternatywy, zupełnie innych rozwiązań, jakie proponowane



Temat z okładki



Temat z okładki

były dotychczas zarówno w telewizji konwencjonalnej, jak i medium internetowym. Już od samego początku, kiedy pomysł jeszcze raczkował, dziennikarze rozpoczęli przygotowywanie. W studiu przy ul. Lipowej, za charakterystycznymi żelaznymi drzwiami, powstało mnóstwo ciekawych, świeżych pomysłów, które tylko czekały, żeby wydostać się na światło dzienne, a Jerzy Stańczyk, inżynier studia, czuwał nad tym, by praca ze sprzętem telewizyjnym nie stanowiła dla początkujących dziennikarzy większych problemów.

Wiadomo jednak, że od „pomysłu do przemysłu” niejednokrotnie trzeba przejść ciężką i wyboistą drogę. Po wielu rozmowach organizacyjnych, po zapoznaniu się z niezliczoną liczbą dokumentów, przez które należało przebrnąć, przeszedł czas na pierwszy odważny krok. W lutym br. rozpoczęły się kursy mistrzowskie, na których studenci odbywają szkolenie z zakresu operatorstwa telewizyjnego, dźwięku, montażu, a także dziennikarstwa newsowego i prezenterkiego.

Kolejne poczynania to przygotowanie programów, jakie Krakowska Telewizja Internetowa będzie oferować w ramówce. Realizacja „*Pokolenia UE*” wystartuje już niebawem, program prowadzony w studiu poruszający kwestie istotne dla młodych ludzi (jak np. problemy związane z narkotykami, zapłodnieniem *in vitro* czy wieloma innymi) jest w trakcie dopracowywania szczegółów. Newsy i najświeższe informacje wprost z miasta będą trafiały do widzów na bieżąco. Nad powstawaniem tych programów czuwa doświadczony dziennikarz **Jan Gabrukiewicz**.

Szczegóły techniczne są niemal dopracowane, ale najistotniejsza jest jednak sama idea programów. Mają one na celu pokazywanie nie tylko bohaterów ze środowisk, do których potencjalny widz mógłby prawdopodobnie nigdy nie dotrzeć, ale także zbudowanie społeczności, w której każdy będzie mógł wyrazić swój pogląd na poruszane przez program zagadnienie, a nawet zaproponować, kogo lub jaki temat chciałby zobaczyć w najbliższych odcinkach.

Krakowska Telewizja Internetowa rusza już niebawem. Szansą na zaistnienie jest jej oryginalność i innowacyjność kulturowa. ■



Temat z okładki



Kraków od spodu

Fot. Mirosław Żak

Khalif Wallin Walter, znakomity amerykański kompozytor, piosenkarz i gitarzysta, gwiazda bluesa, wystąpił w w KSW. Zaprosił słuchaczy w podróż w głąb historii bluesa, przypomniał jego początki, rytmiczną ewolucję, a także wpływ na historię społeczeństwa.

Blues pełen wolności

Daniel Wilk

Blues jest ojcem wszystkich współczesnych nurtów muzycznych. Rock, funk, jazz, r'n'b, hip-hop, gospel powstawały w zależności od kierunku, w jakim ewoluował właśnie blues.

Khalif Wallin Walter jest jednym z najbardziej cenionych przedstawicieli tego gatunku muzycznego. Ukończył Roosevelt University w Chicago, wydziały: Jazzu i Historyczny, specjalność: Kultura afro-amerykańska. Wystąpił na wielu blu-

esowych festiwalach w Ameryce i Europie, w tym na największych – Chicago Blues Festiwal czy Chorzowskim Festiwalu Blues estracje. Koncertował u boku współczesnych bogów bluesa: Carla Weathersbiego, Taja Machala czy A.C. Reeda. ►

Muzyka Khalifa Wallina Waltera to dynamiczne gitarowe brzmienia oparte na bluesowych improwizacjach. On sam swoją muzykę określa jako „boogie roots”. Muzyk nie stroni od poszukiwań w nieodkrytych jeszcze rytmicznych układach. Jego ukochanym instrumentem jest oczywiście gitara, interesuje się również muzyką płynącą z wszelkiego rodzaju afrykańskich bębnow i djemb.

Jak mówi, „muzykę można odnaleźć w odbijających się od parapetu kroplach deszczu czy rytmicznych krokach tłumów podążających metrem każdego ranka do pracy”. Khalif Wallin Walter wzoruje się na twórczości Freddiego Kinga, Alberta Kinga i Alberta Collinsa. Tworzy blues pełen wolności, przestrzeni do improwizacji, rytmu codziennego życia.



W auli KSW gość poprowadził jedy-ny w swoim rodzaju wykład, w którym czynny udział wzięła licznie zgromadzo-na publiczność. Każdy na własnej skórze mógł odczuć zasady rządzące muzyką kultury afro-amerykańskiej. Artysta pokazał rytmiczne różnice między kolejnymi etapami rozwoju bluesa. Zobra-zował, jak łatwo daje się tworzyć dźwięki. Pokierował słuchaczy tak, że muzykę „tworzył” każdy z nich, bo muzyka wy-nika z wewnętrznej potrzeby, tworzy ją przecież nasze wnętrze, dusza, serce, podświadomość.

Blues, zapoczątkowany w XIX w. przez Afro-amerykanów, związany z ich doświadczeniem i kulturą, jest zwierciad-łem historii, zmian politycznych, społecz-nych, wierzeń religijnych – wszystkim, co wychodzi z wnętrza ludzi i wpływa na ich wnętrze.

Znakomita i charyzmatyczna po-stać z Ameryki nie tylko ubarwiła nam szary, marcowy wieczór, ale również wskazała drogę, jaką powinniśmy po-dążać w życiu. ■

Dzięki pomysłowości studentów naszego miasta w dniach od 1 do 25 kwietnia w wielu miejscach zostaną zorganizowane akcje przyświecające szczytnej idei krwiodawstwa. (krkrkr.pl)

KRwiecień KRwiodawstwa w KRakowie



K R K R K R . P L

Bartosz Walat

KR wiecień KRwiodaw-
stwa w KRakowie
to akcja, która ma
się przyczynić do
popularyzacji ruchu honorowego krwio-
dawstwa i świadomej transplantologii.
Dzięki pomysłowości studentów nasze-
go miasta w dniach od 1 do 25 kwietnia
w wielu miejscach zostaną zorganizowa-
ne akcje przyświecające szczytnej idei
krwiodawstwa. (krkrkr.pl)

Cała inicjatywa i szczegółowa or-
ganizacja powstała dzięki Porozumie-
niu Samorządów Studenckich Uczelni
Krakowa. Jako organ niezależny repre-
zentuje ono ponad 200 tys. studentów,
skupionych w około 20 publicznych
i niepublicznych szkołach wyższych.

Dawid Czupik, przewodniczący
Uczelnianej Rady Samorządu Studen-
tów KSW, występujący w imieniu Kra-
kowskiej Szkoły Wyższej, jeden z inicja-
torów akcji, zauważył, że porozumienie
*między wszystkimi samorządami
PSSUK zostało zawarte w celu lepszego
przepływu informacji oraz wymiany do-
świadczeń dotyczących naszych kolegów
i koleżanek, a także w kwestii organi-
zowania wspólnych projektów na skalę
ogólnokrakowską.*

Obecna akcja jest właśnie dowodem
na to, jak dyskutując, można wypracować
ponadpodziałowe cele służące integracji
i szerzeniu wspólnotowych wartości.

Ze względu na masowy i szczytny
charakter wydarzenia honorowy patro-
nat nad akcją przyjęli ks. kardynał Stani-
sław Dziwisz, a także rektorzy szkół wyż-
szych Krakowa, wojewoda małopolski
Jerzy Miller oraz marszałek wojewódz-
twa małopolskiego Marek Nawara.

Przedsięwzięcie kierowane jest nie
tylko do studentów, ale także wszyst-
kich mieszkańców Krakowa, co powin-
no się przyczynić do masowego udziału
w zaplanowanych wydarzeniach. Trze-
ba przyznać, że nadrzędny cel – niesie-
nie bezinteresownej pomocy drugiemu
człowiekowi – rzeczywiście motywuje
wiele osób. Plakaty rozgłaszające o pod-
jętym projekcie szczegółowo informują
o tym, w których miejscach pojawi się
możliwość oddania krwi, przejścia kur-
su udzielania pierwszej pomocy, a także
uczestnictwa w wykładach poświęconych
zagadnieniom świadomej transplantolo-
gii oraz szeroko rozumianego udzielania
się w popularyzacji idei poświęcenia się
dla drugiej osoby.

Organizatorzy zaplanowali również
wydarzenia towarzyszące. 10 kwietnia
2008 r. na boisku AWF (al. Jana Pawła II
78, godz. 12) odbędzie się turniej piłki
nożnej, a w klubach „Midgard” (3.04
i 17.04) i „Cień” (9.04 i 22.04) zorga-
nizowane zostaną imprezy powiązane
z całym przedsięwzięciem.

Szczególną uwagę należałoby jednak
zwrócić na wspomniane już tematyczne
wykłady. O tym, jak wygląda zderzenie
transplantologii z etyką czy prawem obo-
wiązuującym w Polsce, będzie się można
dowiedzieć w Auditorium Maximum UJ
23 i 24 kwietnia podczas debaty *Organy
NIE dla sztywniaków!!!*

Zachęcam do uczestniczenia w tej
chlubnej inicjatywie, która ze wzglę-
du na swój charakter może namacalnie
dowieść, że nie jest nam obojętny los
drugiego człowieka, a międzyuczelniane
akcje traktujemy jako szansę na walkę
z dezintegrującymi podziałami. ■

Kraków od spodu

W dniach 16-17 marca w auli KSW przy ul. Starowiślnej 16 odbywała się „symulacja obrad Rady Bezpieczeństwa ONZ” debatująca nad pokojowym rozwiązaniem kwestii kurdyjskiej. Wydarzenie to było wspaniałą okazją do dyskusji oraz zastanowienia się nad przestrzeganiem praw człowieka.

O problemie i prawach mniejszości kurdyjskiej

Mateusz Płocica

Organizatorem projektu „symulacji obrad Rady Bezpieczeństwa ONZ” był Samorząd Studencki KSW oraz organizacja AEGEE znana jako Europejskie Forum Studentów. Organizacja ta skupia ok. 17 tys. członków z 42 krajów Europy. Celem jej jest propagowanie idei tolerancji oraz wspólnej Europy. Opiera się to na prowadzeniu wymian międzynarodowych z młodzieżą, organizacji konferencji, szkoleń oraz różnego rodzaju wyjazdów.

Do bezpośrednich celów działania tej organizacji należy także propagowanie pokoju i bezpieczeństwa, aktywnego obywatelstwa europejskiego oraz rozwój szkolnictwa wyższego. Należą do niej młodzi ludzie (w większości studenci) oraz osoby, które nie ukończyły 35. roku życia.

To dzięki wspaniałej i owocnej współpracy Samorządu Studentów KSW oraz tej organizacji odbyła się „symulacja obrad Rady Bezpieczeństwa ONZ”, która debatowała nad wieloma ważnymi kwestiami politycznymi, kulturowymi oraz przestrzeganiem praw człowieka. Tematem przewodnim obrad był problem kurdyjski. Kurdowie to największy, bo aż dwudziestopięciomilionowy naród, który nie posiada własnego państwa. Większość z nich mieszka w Turcji (13 mln), ok. 6 mln w zachodnim Iranie, ok. 3 mln w północnym Iraku i ok. 0,8 mln w północno-zachodniej Syrii. Ich sytuacja polityczna jest bardzo niestabilna, gdyż aby mogło powstać ich niepodległe państwo, trzeba by zdestabilizować aż cztery sąsiednie. Jest to szczególnie niebezpieczne, biorąc pod uwagę, że na tych terenach bez przerwy toczą się różnego rodzaju konflikty zbrojne.



Mateusz Płocica w rozmowie z Pauliną Chromik

Historia narodu kurdyjskiego jest bardzo burzliwa i tragiczna – przez lata byli podbijani przez Persów i Turków oraz znajdowali się w niewoli. Próby odzyskania przez nich utraconego państwa oraz prośba o pomoc do innych europejskich państw okazały się daremne. Kurdowie zmuszeni byli walczyć o uznanie własnej suwerenności i podstawowe prawa, które zostały im odebrane (takie jak prawo do kultury, języka, własnej nacji itp.).

Prawa te były wielokrotnie łamane przez państwa na terytoriach, których mieszkają Kurdowie. W Turcji ich przywódcy stali się więźniami politycznymi, nie uznawano ich języka oraz łamano podstawowe prawa człowieka. Widząc to, Kurdowie zaczęli się buntować i rozwiązywać swój problem za pomocą broni. Taka sytuacja była nie do zaakceptowania przez władze tureckie, które również zaczęły odpowiadać zbrojnie oraz wkroczyły na terytorium Iraku w celu rozbicia

znajdującej się tam Partii Pracujących Kurdystanu (PKK).

Sytuacja stale się zaostrza, a rozwiązanie konfliktu nie widać. Na dodatek sami Kurdowie stracili już właściwie nadzieję na utworzenie niepodległego państwa. Obecnie domagają się uznania własnych praw i poszanowania kultury, godności, równouprawnienia, nadania większych praw ekonomicznych, amnestii dla więźniów politycznych, uznania ich w konstytucji tureckiej, zalegalizowania kurdyjskich partii politycznych oraz zaprzestania przez Turcję atakowania irackiego Kurdystanu. Konflikt ten budzi skrajne emocje i odczucia. Wiele państw nie chce brać udziału w jego rozwiązaniu, a inne kierują się bardziej własnymi interesami niż pomocą dla Kurdów.

Nad sytuacją Kurdów debatowała Rada Bezpieczeństwa ONZ, w skład której weszły takie państwa jak: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Wielka Brytania, Francja, Chińska Republika

Ludowa, Rosja, Belgia, Libia, Chorwacja, Włochy, RPA, Turcja i inne. Przedstawiciele tych państw wspólnie debatowali nad pokojowym rozwiązaniem kwestii kurdyjskiej oraz pomocą i ułożeniem wspólnego stanowiska. Wielokrotnie obrady przerywane były dyskusją. Było to niezwykle ciekawe przedsięwzięcie, gdyż mogliśmy dzięki niemu bliżej przyjrzeć się obradom „fikcyjnej” Rady Bezpieczeństwa ONZ. Nie zabrakło wspólnych pomysłów oraz dodatkowych wniosków wśród uczestników obrad.

Reprezentanci poszczególnych państw niezwykle wczuli się w odgrywane przez siebie stanowiska, gdyż nawet w rozmowach kulturalowych trwała zawzięta dyskusja, która jednak ostatecznie po głosowaniu zakończyła się zawarciem wspólnej rezolucji. Na koniec trzeba podkreślić, że duże brawa należą się Samorządowi Studentów KSW, gdyż jak powiedziała jedna z osób odpowiedzialnych za realizację projektu, Paulina Chromik, „to dzięki współpracy i pomocy Samorządu Studentów KSW



oraz władz uczelni byliśmy w stanie przeprowadzić symulację obrad. Miło nam, gdyż zadbano nie tylko o użyczenie nam sali, ale również o obiad i inne posiłki. Cieszymy się, że Krakowska Szkoła Wyższa jest otwarta na tego typu inicjatywy prowadzone przez

młodych ludzi. Serdecznie dziękuję!

Miejmy nadzieję, że wkrótce będziemy mieli okazję uczestniczyć w dalszych tego typu projektach, a problem godności i poszanowania praw człowieka zawsze pozostanie tematem najważniejszym. ■

Fot. Mirosław Zak

Po debacie „Między komentarzem a prognozą” w klubie „Pod Jaszczurami”

Dlaczego przegrał PiS...

Justyna Zuber

3 marca br. w klubie „Pod Jaszczurami” odbyła się debata zatytułowana „Między komentarzem a prognozą”. W dyskusji wzięli udział dwaj najbardziej rozpoznawalni i szanowani komentatorzy polskiej sceny politycznej: socjolog dr Jarosław Flis i znany politolog dr Marek Migalski.

Obaj panowie sprytnie unikali podjęcia dyskusji na temat zaproponowany przez organizatorów, a jedynie nakreślili, jak dokonują analizy sytuacji, jakich technik używają oraz jak bardzo można się pomylić w wydawaniu opinii na temat pozornie bardzo szczegółowo przeanalizowanego problemu.

Okazuje się, że prognozy nie zawsze się sprawdzają. Przykładem tego może być np. zapowiedź dra Migalskiego, który przewidywał zwycięstwo „Prawa

i Sprawiedliwości” w wyborach parlamentarnych w 2007 roku. Dziś już wiemy, że konkurencyjna partia w ostatecznych wynikach zyskała prawie 10-punktową przewagę. Jak tłumaczył się „winny” Migalski, za decydujący moment trzeba uznać debatę prezesów obu partii, w której Donald Tusk wykazał się lepszą znajomością problematyki, a więc i większą wiedzą, co nie tyle odebrało PiS-owi kilka milionów zwolenników, ile zdopingowało osoby opowiadające się dotąd za innymi partiami, ogrywającymi mniejszą rolę w walce „gigantów”.

A zatem – jak podkreślał politolog – z całą pewnością nie da się przewidzieć ludzkich zachowań, które zazwyczaj mają największy wpływ na przebieg wydarzeń, zwłaszcza wydarzeń politycznych.

Forma spotkania była bardzo luźna nie tylko ze strony prowadzących i gości,

ale i słuchaczy, którzy mniej lub bardziej czynnie uczestniczyli w dyskusji. Pojawiły się pytania odbiegające od problematyki polityki, a dotyczące wykonywania zawodu komentatora tej dziedziny. Zarówno dr Flis, jak i dr Migalski zwracali uwagę na to, że każda grupa społeczna potrzebuje komentatora, którego zadaniem powinno być czytelne i obiektywne przekazywanie informacji społeczeństwu. Takimi opiniami większość obywateli kieruje się przy podejmowaniu decyzji związanych chociażby z wyrobami.

Mniej wtajemniczeni w tematykę mediów słuchacze mogli się też przekonać o manipulacji, jaka istnieje w prasie, telewizji czy radiu. Dyskutanci bronili jednak środków masowego przekazu, argumentując, że nie ma przekazu idealnie dokładnego. ■



anty_koncepcja tandety

7 lutego 2008 r. zagrał w Krakowie w klubie „Żaczek” zespół „Lao Che” i był to występ o takim ładunku wybuchowym, że niemal doprowadziłoby to do masowego „mordu”...

Miażdżący łomot i atomowa energia

Bartosz Walat

Nie od dziś wiadomo, że jeżeli po ulicach nie jeżdżą czołgi, a prawa rynku przynoszą takie dochody, iż nie opłaca się żyć w kontrze do systemu, stworzenie charyzmatycznej legendy jest wręcz niemożliwe. Niezaprzeczalnie jednak od kilku lat jesteśmy świadkami tego, jak w zaciszu polskiej sceny umacnia się i zbroi armia bezlitośnie miażdżąca każdą teorię o kulejącej formie rodowitej alternatywy.

„Lao Che” – cóż więcej dodać... 7 lutego 2008 r. zagrał w Krakowie w klubie „Żaczek” i był to występ o takim ładunku wybuchowym, że niemal doprowadziłoby to do masowego „mordu”.

Zespół, który jako nieliczny (a może i jedyny?) nie jest podatny zachodnim brzmieniom, a w dodatku przyświeca mu domena muzycznej elektrowni atomowej (z kadrą miłośników poezji) – to charakterystyka gwarantująca spychanie płyt na bocznicę i zagwarantowanie niszy w czystym wydaniu. I niech tak już zostanie na zawsze.

Proszę sobie wyobrazić, marzec, jeszcze nie kwiecień (wtedy bowiem koncert „Dezertera”), a już krakowska publiczność gromadzi się, nadyma, nagi-na, skacze sobie na głowy i w rezultacie wybucha w przeświadczeniu, że oszalenie klubu studenckiego jest odporne na trzęsienie ziemi.

Sto dwadzieścia minut wybijania wojennego rytmu, którego moc pobudzeniowa odcisnęła się na niejednym ciele,

pozostawiając ślad wykoślawionego glana. Czy to zła charakterystyka, spokojny dzieciaku? Skoro tak uważasz...

Osobiście nie doświadczyłem jeszcze, by na koncercie zgromadziła się tak liczna grupa opętanych muzycznie, i muszę przyznać, że wcale nie było to wynikiem przed koncertowych założeń uczestników, ale efektem tyrańskiej charyzmy twórców. Powinny oczywiście w tym momencie paść słowa dotyczące dostrojenia, zgrania kapeli, ponadczasowej wartości słów i wyczuwalnego uzależnienia między słuchaczami a muzykami, ale jednak wtedy zagościłby mechaniczny przekaz. To naprawdę możliwe, by za 20 zł uczestniczyć w atmosferze, której elementy stale podkreślane w recenzjach wcale nie wpływały na siłę emocji, ale były jedynie częstkami pobocznymi. Szczegółami technicznymi niemającymi nic wspólnego z artystyczną rebelią.

Muzycy „Lao Che” prezentowali utwory ze swej najnowszej płyty „Gospel”. Jak by to napisali recenzenci popularnych gazet, nie zabrakło materiału ze wcześniejszych albumów. Publiczność mogła usłyszeć nagrania z debiutanckiej płyty „Gusła”, a także ze sztandarowego projektu „Powstanie Warszawskie”, który już na stałe wpisał się do kanonu polskiej muzyki rockowej. Fakt ten powinien być zrozumiany przez czytelników jako gwarancja, że w mozaice różnych stylizacji i słownych odniesień wytworzona została aura, jaka od samego debiutu kapeli warunkuje ekscytację nawet wśród członków Komisji Kontroli Gier i Zakładów.

Po doświadczeniach z 7 lutego zmuszony jestem dokonać korekt w moich wcześniejszych tekstach. W ramach tego zalecam wam dowolne zredagowanie wyrażen „miażdżący łomot” i „atomową energią” (w tekście lutowym „Zespoły się zmieniają...”) oraz zastąpić każdy inny truizm, który mógłby być mocniejszy od dzisiaj użytych. Każde bowiem „mocne słowo” odniesione do aktualnych koncertów jest nie na miejscu, jeżeli nie dotyczy grupy „Lao Che”.

A teraz kilka uwag o innym (może pobocznym) temacie.

Biorąc pod uwagę to, że coraz więcej osób biegle posługuje się językiem angielskim, nadszedł w końcu chyba czas, by polskie debiutujące kapele zaczęły śpiewać donośnymi głosami w języku szwedzko-mandżurskim i w dodatku koniecznie w odcieniu belgradzkiego dialektu. Już dość frazesów, których merytoryczna wartość dorównuje tekstom z ulotek pastylek przeczyszczających.

Tymczasem jednak... przed państwem grupa „L. Stadt”. Bohater wydarzenia okrzykniętego przez klub „Pod Jaszczurami” koncertem miesiąca. Zespół młody, zdrowy, utożsamiający się z muzyczną stylistyką „The Doors”, a jednak wydaje się pewne, że po napisaniu czterech pierwszych przyspiewek powinni zawiesić działalność. „Nie wytrwam miesiąca czy dwóch / Dlatego już teraz proszę – wróć! Ta zazdrość nie minie / Przecież nigdy nie byłem w Londynie...” (tekst i muzyka L. Stadt) ■

Nieme kino (3): „Błękitny Anioł”, czyli

Historia zgubnych namiętności

Joanna Oparcik

Po przykładach arcydzieł z archiwów filmu niemego czas oddać głos kinu. To ono pozwoliło reżyserom i aktorom na realizację nowych form ekspresji, ale także niejednokrotnie stało się początkiem końca wspaniałych karier filmowych gwiazd filmu niemówionego z lat 20. i 30. ubiegłego wieku

Choć „Błękitny Anioł” (bo o nim mam zamiar napisać) zrealizowany został w 1930 roku i nie był pierwszym filmem dźwiękowym w kinematografii, to jednak według mnie jest najciekawszy ze wszystkich nie tylko jako obraz filmowy sam w sobie, ale i z tego powodu, że w pewien sposób zapoczątkował to, co w późniejszych latach dało podwaliny pod cały system gwiazd hollywoodzkich, powojenny glamour Los Angeles, wciąż realizowany przez współczesne wielkie nazwiska „fabryki snów”.

Pierwszy niemieckojęzyczny film dźwiękowy opowiada historię pewnej jakże niedobrej pary. Oto szanowany profesor Unrucht (grany przez znanego aktora, Emila Janningsa), odwiedzając pewnego wieczoru w akcie interwencji klub „Błękitny Anioł”, zakochuje się w młodej i wyzwolonej szansonistce o śpiewnym imieniu Lola Lola. Reżyser Josef von Sternberg, podobnie jak jego bohater szaleńczo zauroczony Marleną, cały ciężar filmu przeniósł na barki młodej aktorki, czyniąc z niej gwiazdę i odkrywając ją dla całego filmowego świata. Wspaniale ukazał na zasadzie kontrastu istnienie dwóch zupełnie różnych światów: uporządkowanej przez powoli mijające kolejne godziny rzeczywistości profesora Unruchta, poważanego przez społeczeństwo obywatela klasy miejskiej, i hipnotyzujący, chaotyczny, ciemny świat kabaretowej rozrywki.

Film „Błękitny Anioł”, kładący nacisk na niebezpieczny i jak się później

okaże tragiczny w skutkach związek profesora i piosenkarki, niezwykle sugestywnie pokazuje, jak zgubne i wciągające potrafią być namiętności targające ludzką naturą. Siła, która połączyła tych dwoje ludzi, doprowadza miarowe życie profesora na skraj upadku, miejsce, z którego nie ma ucieczki. Trujący jad sączony – wydawałoby się – z taką słodyczą przez Lolę okazał się zabójczy także dla niej samej.

Oglądając film, warto zwrócić uwagę na dyskretny motyw ptaszka przewijający się przez cały film (w jakich momentach się pojawia i co symbolizuje). Fabuła, kostiumy i świeża oprawa muzyczna (piosenki są doskonale dobrane do raczej skromnych możliwości głosowych przyszłej divy) – wszystko to sprawiło, że film na zawsze powiązany został z legendą niemieckiej aktorki. Zresztą muzyka stała się dla tego filmu siłą napędową – Dietrich być może nie była najlepszą piosenkarką, a jej głos, mimo że o intrygującej barwie, daleko odbiegał od melodyjnego ideału. Aktorka miała jednak niezwykłą zdolność interpretacji tekstu. Kiedy więc śpiewa wyzwolone, podszyte erotyzmem piosenki, krytykujące skrupowane przez mieszczańskie więzy życie, jesteśmy więcej niż skłonni jej uwierzyć.

PS

Dla osób, które zainteresowały się kinem niемым, ale także starym kinem, mam wiadomość. Oto na polskim rynku dystrybucyjnym znalazła się ciekawa i bardzo ambitna firma – VIVARTO (działają od 2005, ale to 2007/2008 będzie zdaje się dla nich rokiem prze-



lomowym). Właśnie wprowadza ona na nasze ekrany odrestaurowane i zremasterowane wersje trzech wielkich filmów „zabawnego facecika z wąsem” Charliego Chaplina. Poczynając od „Brzdąca”, poprzez „Gorączkę złota” aż do późnego (z 1940 roku), ale świetnego „Dyktatora” dystrybutor chce zaznajomić Polaków z kinem mniej popularnym. Co ciekawe, według zapowiedzi kolejnymi filmami, które wejdą do obiegu, mają być „Metropolis” i właśnie „Błękitny Anioł”. Tak więc trzymajcie rękę na pulsie. Dla osób, które nie znają owych dzieł, nadarza się świetna okazja, by przeżyć wspaniałą filmową przygodę. Dla znających – zapewne przyszedł długo oczekiwany moment, kiedy ich ulubione stare filmy będzie można obejrzeć w pełnowartościowej wersji kinowej, na dużym ekranie i z wyraźnym obrazem. ■

KSW w obrazie

– Polak woli kupić koszulkę zespołu, muzykę bez problemu ściąga się przecież z Internetu...

O realiach polskiej sceny hardcore'owej i o cenie, jaką trzeba płacić, żeby się oddać własnej pasji, rozmawiamy ze studentem KSW Dawidem Krąkowskim, który ma własną wytwórnię fonograficzną

– Jakie inicjatywy podejmujesz obecnie w życiu?

– Studiuję amerykanistykę w Krakowskiej Szkole Wyższej. Zawsze chciałem studiować ten kierunek i jestem obecnie na V roku. Zamierzam również podjąć podyplomowe studia dziennikarskie, które pojawiły się niedawno w propozycji edukacyjnej KSW. Ze względu na to, że od początku musiałem godzić naukę z pracą, wybrałem tryb zaoczny. Ułatwia mi to znajdowanie czasu na mój własny projekt – mam prywatną wytwórnię wspierającą scenę hardcore.

– Skąd takie zainteresowania?

– Właściwie jest to rozbudowana historia, bo cały proces rozpoczął się jakieś 10 lat temu. Dawniej nie słuchałem metalu i muszę przyznać, że kojarzyłem go z potocznym rozumieniem „darcia japy” (śmiej), ale jednak kiedy zobaczyłem jakiś teledysk zespołu Metallica stwierdziłem, że to całkiem dobre granie. Zacząłem się interesować muzyką i poszukiwałem wśród punkowych brzmień, dźwięków sceny californijskiej czy newmetal. Moja fascynacja ewoluowała i z czasem, odkąd muzykę zacząłem traktować bardzo poważnie, skupiłem się na mocnych brzmieniach.

– Jak subkultura hardcore jest odbierana przez inne zrzeczenia?

– Hardcore wywodzi się z jednej strony z kultury punk, z drugiej zaś ze wczesnej stylistyki skinheadów. Jesteśmy jednak tolerowani, bo nie ma w nas agresji. Nawet gdy czasem buty pójdą w ruch (śmiej) – wynika to tylko z tłumienia jakiś całkowicie wyalienowanych odła-



mów urządzających antyludzkie manifestacje. Dziś można zobaczyć na koncertach obie grupy razem bawiące się pod jednym hasłem.

– W jaki sposób dotarłeś do takich niszowych scen?

– Muszę przyznać, że w tym względzie zauważam nieograniczone możliwości Internetu i wszelakich źródeł, które są tam dostępne. „MySpace” czy „YouTube” to naprawdę możliwości, jakim w żaden sposób nie są w stanie dorównać inne formy przekazu. Przez pewien okres byłem też DJ-em w klubie „Uwaga”, co zdecydowanie poszerzyło mój muzyczny horyzont. Dzięki temu lubię również posłuchać elektroniki czy jazzu. Zresztą każde brzmienie oprócz technawki i disco polo nie jest mi obojętne.

– Musisz jednak przyznać, że nie każdy fan zakłada od razu wytwórnię. Jak do tego doszło?

– Wszystko tworzyło się stopniowo. Zaczęło się w 2003 roku, kiedy poszedłem na koncert nieistniejącego już śląskiego zespołu „Her”. Pomyślałem wtedy, że przecież w Polsce musi być mnóstwo równie dobrych zespołów, o których się nie mówi i nie pisze, a to, co tworzą, mogłoby zafascynować niejednego. Byłem na tyle tym poruszony, że nie potrafiłem siedzieć beczynn timer i proponowałem pomoc. Robiłem zdjęcia, promowałem kapela na forach internetowych i starałem się, by muzyka dotarła do jak największego grona. Takie akcje zacząłem przeprowadzać też dla krakowskich kapel, a to po krótkim czasie już wytworzyło mi miano pseudomenedżera...

– Trudno promować muzykę hardcore?

– Trudno powiedzieć. To bardzo specyficzna scena. Wierzcie mi, że tam co druga osoba się zna. Jesteśmy jak jedna wielka rodzina. Niesamowite wydaje się i to, w jak błyskawicznym tempie rozcho- dzą się informacje o tym, jaka kapela jest warta uwagi, a jaka zagrała słaby koncert. Przez tę hermetyczność mam też teoretycznie małe możliwości wypromowania kapeli grającej punk czy hardcore gdzieś na zewnątrz.

– Skąd więc pomysł na tworzenie festiwali?

– Gdy jeździłem na koncerty na przykład warszawskich imprez i widziałem, w jakiej świetnej atmosferze odbywają się te wydarzenia, zrozumiałem, że nadszedł czas, by spróbować zorganizować coś we własnym środowisku. Wraz z kolegą Tomkiem (Shing Records), który w danej branży działa od lat, podjęliśmy ryzyko i muszę przyznać, że było warto. Dzięki organizacji wydarzeń muzycznych poznałem mnóstwo zdolnych osób, które zacząłem promować swymi wypróbowanymi sposobami. Głównym problemem był jednak brak wydawnictw zainteresowanych mocnym klimatem.

– I stąd pomysł na własną wytwórnię?

– Tak. Naprawdę czulem, że przedsięwzięcie może się udać. Gdy zespół „Good Old Days” z Torunia zaczął wyrażać chęć do nagrania materiału, zaczęliśmy przygotowania i początkowo mały nakład przeobrażaliśmy z czasem w większą inicjatywę.

– Czy polskie realia stwarzają szanse niszowym twórcom?

– Muszę powiedzieć, że tak. Gdy obserwuję polskie zespoły rockowe promowane w mediach, to widzę lekką odtwórczość. Tymczasem na scenie hardcore zauważam tak wiele nowatorstwa i energii, że aura, jaka wokół panuje, przyćmiewa nieraz takie podwaliny, jak „Vader” czy „Behemoth”. W większości przypadków, gdybym nie wiedział, że na scenie są chłopaki z miasta, to bym był przekonany, że to zespół z Belgii czy ze Stanów Zjednoczonych.

– Jak duży nakład finansowy jest potrzebny, żeby w ogóle podjąć próbę realizacji jakichś wydawniczych planów?

– Kiedyś wydawało mi się, że to musi być astronomiczna suma. Prawda jednak wygląda tak, że wcale nie są to niewyobrażalne pieniądze. Moja miesięczna pensja jest kwotą wystarczającą, żeby wydać niewielki nakład promujący zespół (zazwyczaj około 500 sztuk). Najważniejsze jest jednak zaangażowanie i dobre chęci, cała reszta przychodzi z czasem. Wydałem już dwanaście kapel, w tym trzy zagraniczne, i o pomoc w nagraniu płyty zwracają się do mnie formacje z całej Europy, a nawet Australii i USA.



– Spodziewałeś się takiego rozwoju?

– Osobiście jestem w szoku. Szczególnie zainteresowanie zagranicznych zespołów budzi we mnie zdziwienie, że jestem traktowany jako poważny animator kultury. Nie spodziewałem się tego. Wyobraź sobie, że domenę Spook Records założyłem po tym jak koleżanka, siedząc ze mną na trawie na festiwalu w Piasecznie, spontanicznie powiedziała: „Tak się tym interesujesz, to może stwórz własną wytwórnię”.

– Czy dzięki takim inicjatywom można wystarczająco zarobić?

– Niestety, mamy do czynienia z polskimi realiami. Mentalność, z jaką się spotykam, utwierdza mnie w przekonaniu, że Polak woli kupić koszulkę, a muzykę bez problemu ściąga się przecież z Internetu. Drugim aspektem są polskie realia zarobków. Jest sporo ludzi, którzy chętnie kupią oryginalną płytę, ale mają np. ok. 600 zł do wyżycia na miesiąc. Nie wszystkie działania się zwracają, dlatego też nie traktuję tego jako biznesu, ale raczej jako drogie hobby. Trzeba jednak podkreślić, że na koncerty chodzi wcale niemała liczba 200-400 osób. Dla porównania dodam, że za granicą takie koncerty gromadzą kilka tysięcy fanów, a tam również nazywane jest to *rynkiem niszowym*. Chciałbym przesłać ukłony dla polskich wydawnictw które od lat działają na scenie (Pasażer, Nikt Nic Nie Wie, SHING Records, Trująca Fala, Refuse Records, Selfmadegod Records, In Our Hands itp.) To właśnie oni mnie zainspirowali i dali przykład.

Na koniec zacytuję O.S.T.R. „Nie muszę żyć z muzyki, muzyka żyje we mnie”.

Rozmawiali:

Bartosz Walat i Bartłomiej Misiniec



FILHARMONIA

IM. KAROLA SZYMANOWSKIEGO W KRAKOWIE



Województwo
Małopolskie



fol. Maciej Płomiński

bilety/tickets:

tel./fax 012 429 13 45

tel. 012 422 94 77

www.filharmonia.krakow.pl

FILHARMONIA IM. KAROLA SZYMANOWSKIEGO W KRAKOWIE 31-103 Kraków, ul. Zwirzyńska 1